

Koniec świata

Zuzia Pacholczyk*

(opublikowane w nieregularniku świąteczno–dramatyczno–systemowym
Anyten Mlek nr 21 (3), styczeń 5002)

Profesor M. siedział już czwartą noc w laboratorium. Oczy same mu się zamykały, od nadmiaru kawy czuł skurcze w jelitach, wszędzie pełno było brudnych kubków i pokreślonych papierów, w powietrzu unosił się zapach potu i czosnku. Ten ostatni naukowiec jadł dla wzmocnienia podczas długotrwałych badań.

Profesor M. tak naprawdę nazywał się Józef, nie znosił jednak swojego imienia, a zdrobnienie “Józio” przyprawiało go o mdłości. Dlatego wołał mówić o sobie “profesor”. Zresztą miał do tego wszelkie prawa, skończył bowiem swego czasu studia na Wydziale Fizyki, gdzie teraz pracował. Ostatnio poszukiwał spójnego systemu opisu całego świata, który to system na swój własny użytek zwykł nazywać Wielką Zunifikowaną. Czuł, że bliski jest wyprowadzenia ostatecznych równań, postanowił więc nie wracać do domu na noc, która niespostrzeżenie przeciągnęła się do — jak wiemy — 96 godzin, co bardzo zaniepokoiło czekającą w domu żonę, zresztą długowłosą blondynkę o niebieskich oczach i nogach tak długich, że mężczyźni mijający ją na ulicy przecierali oczy, a sam profesor, jeszcze w latach narzeczeństwa, przeprowadził serię pomiarów ich długości. Wyniki opracował zgodnie z konwencją, a rezultat sprawił, że nieustraszony badacz zmuszony był opóźnić ślub o kilka miesięcy, które spędził w sanatorium, lecząc się na serce.

Wzmiankowana żona czekała na profesora z obiadem, a ponieważ nie była przyzwyczajona do pracy naukowej, zasnęła po pierwszych 24 godzinach spędzonych w kuchni. Gdy się obudziła, z zupy zostało już tylko przykre wspomnienie w postaci dymu, co przyprawiło sumienną żonę o rozpacz i histerię. Po upływie kolejnej doby pod dom profesora zajęchała biała furgonetka, wysiadło z niej dwóch panów w kitlach i biedna żona przewieziona została do szpitala psychiatrycznego w Tworkach.

*zzupa@o2.pl

Nieoczekiwanie to smutne na pozór wydarzenie okazało się być najlepszą rzeczą, jaka mogła się jej przytrafić. A było tak, ponieważ w tym samym czasie, kiedy furgonetka odjeżdżała spod domu przy ulicy Kwitnącej Akacji, zamieszkujący tam na co dzień profesor dopisał po obu stronach znaku równości $'13e^k * \ln'$, co spowodowało że Tajemnica Wszechświata została rozwiązana. Profesor radośnie wybiegł na ulicę, dzieląc się ze wszystkimi przechodniami swoją świeżo nabytą wiedzą. Ponieważ zdecydowana większość z nich nie miała nawet pojęcia, co oznacza $'\ln'$, zmuszony był tłumaczyć im wszystko od początku: że cały świat da się opisać czysto fizycznie, że żadne ze zjawisk nie jest wynikiem naszych intencji, lecz tego, co już się zdarzyło; że człowiek jest istotą czysto biologiczną i — co za tym idzie — nie istnieje ani dusza, ani żadne z tzw. uczuć wyższych; że cała dotychczasowa filozofia pozbawiona jest sensu; że Boga nie trzeba się bać, bo — rzecz prosta — w ogóle istnieć nie może, a nawet gdyby istniał, nie miałby żadnego wpływu na nasz świat; w końcu, że pewne rzeczy muszą być w określonym czasie odkryte i gdyby on, profesor, przerwał swoje badania, to być może do tych samych wniosków w tym samym czasie doszedłby któryś z jego mniej zdolnych kolegów.

Im dłużej dzielił się profesor swoim wielkim odkryciem z przechodniami, tym smutniejsi odchodzili ludzie spod wydziału. Wieść rozniosła się po kraju błyskawicznie, niedługo potem dotarła do ludzi na całym świecie. Rządy wydelegowały po jednym przedstawicielu na Kongres Planowania Przyszłości. Parlamenti przyjęły uchwały o zamknięciu wszystkich wydawnictw i spaleniu książek, jako opisujących świat nierzeczywisty. Kongres podjął decyzję o likwidacji szkół — wystarczyło znać jedno równanie. Znikły podziały społeczne, wszyscy chodzili jednakowo smutni i oępiali, a tysiące bezrobotnych kapłanów, filozofów, artystów i naukowców leżało w rynsztokach razem z etatowymi bezdomnymi i żebrakami. Niektórzy tracili chęć do życia i szybko umierali. Inni postanowili bezkarnie korzystać z uroków egzystencji, mimo to jednak dzieci ubywało, bo nie miał ich kto wychowywać. Ludzkość zaczęła się kurczyć i degenerować.

Kwiaty przestały kwitnąć, drzewa zrzuciły liście, słońce — widząc bezsens swojego istnienia — popełniło samobójstwo, puchnąc najpierw do olbrzymich rozmiarów, a następnie wybuchając i — przy okazji — niszcząc wszystkie planety Układu Słonecznego.

Zapadła ciemność.